Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 21. Sierpnia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 34.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

NAWRÓCONA

NOWELA ZORJANA.

(Dokończenie).

U baronowej bawiono się dobrze. Co wieczora zbierało się u niej dobrane kółko mężczyzn i kobiet, młodych i starszych, nad których nazwiskami błyszczały korony i mitry. Gospodyni była uprzejma, towarzystwo ochocze, więc szła zabawa wesoło, dowcipy i śmiechy krzyżowały się, zapominano o reszcie świata.

W takiem towarzystwie podobało się Musi bardzo, rozpromieniała się zawsze, odznaczała dowcipem, a nadewszystko czarowała pięknością i wdziękiem.

Tak bawiono się u baronowej.

W ubocznym małym pokoiku siedział przy stoliku młody student. Był to siostrzeniec baronowej.

Bolesław miał lat dziewiętnaście; chodził do szkół, i gorliwie oddawał się pracy.

Zazwyczaj siadywał do późna w noc nad książką.

Kiedy z odległego salonu dolatywały go okrzyki i wesoły gwar, siedział pochylony przy stole, ale nie pracował. Myśl jego, zdaje się, ulatywała gdzieś indziej. Siedział i słuchał. Tam ochoczo i gwarno, tu smutno, cicho. Usłyszał skrzyp drzwi od salonu, powstał i cicho poszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie była bibljoteczka. W drzwiach wiodących z salonu spotkał Musię.

— Ty jeszcze nie śpisz? — zapytała.

— Chciałem wziąć jaką książkę.

— Ciocia cię prosiła, ażebyś nie pracował tak do późna, może ci to zaszkodzić.

— Ciocia... — powtórzył chłopiec patrząc na Musię.

— I ja cię o to proszę — dodała po chwili.

— Ty, Musiu?!

— Czy cię dziwi, że się troszczę o ciebie, że nie chciałabym, abyś niszczył zdrowie?

— Nie wiedziałem, że myślisz kiedy o mnie — mówił cicho, i smutnie jakoś.

— Dla czegoż?

— Sam nie wiem zkąd mi takie myśli przychodzą, zdawało mi się, że o mnie się nikt nie troszczy...

— Jakiś ty niedobry Bolciu, zapominasz, że są tacy, którzy ci sprzyjają.

— Są?

— Ciocia, ja...

— Tyś taka dobra...

Podała mu rękę mówiąc: dobra noc.

Bolesław, nie biorąc żadnej książki powrócił do swego pokoju. Zasypiając myślał o Musi.

Co dnia widywali się przy obiedzie, po tem rozmawiali z sobą wiele; Musia była zawsze wesoła, Bolesław co raz częściej wpadał w zamyślenie. Ona żartowała z nim, ganiła niepotrzebny, jak mawiała, smutek, nigdy jednak nie pytała dla czego jest zamyślonym lub smutnym.

— Niegrzeczny Bolku, będziesz miał czarne oczy, a ja czarnych oczu nie lubię— mówiła mu często śmiejąc się.

Pomimo jej szczebiotu i wesołości nie mógł się Bolesław zmienić.

Wsalonie bawiono się wesoło, słyszał, pomimo zamkniętych drzwi, pustotę i swawolę złotej młodzieży, a w duszy młodego studenta było smutno, tęskno. Westchnienie odzywało się z piersi, a w oku zamgliła łza. Wówczas rzucał się na sofę, zakrywał twarz rękami, zatykał uszy. Jego serce płakało, a do uszu wtargał przemocą weselny śmiech bawiących się gości.

Dla czego Bolesław płakał?

Kochał Musię. Miał lat dziewiętnaście, biedny student — Musia była płochą bardzo dziewczyną.

Bolesław kochał, ale miłości swej nie zdradził niczem, nigdy Musi nic o miłości nie mówił.

Trwało to dość długo. Młody student marzył w swoim pokoju, Musia, otoczona rojem wielbicieli, którzy darmo szturmowali do jej serduszka, była wesoła i szczęśliwa. Dzień po dniu płynął jednostajnie, bez zmian. Bolesław wiedział, że Musia była towarzyszką jego ciotki, mistrzyni w zalotności, ale wierzył w nią jeszcze. Wierzył, a oko miał dobre i śledził każdy jej ruch. Nie mylił się.

Nie chciał się łudzić, a jednak jakiś promyk nadziei wpadał do zasępionej piersi. Aż razu pewnego, gdy siedział, jak zwykle nad książką, doleciał jego ucha wesoły okrzyk zmięszany z brzękiem kielichów szumiącego szampana. Okrzyki takie wznoszono w salonach baronowej nie rzadko, przywykł już do nich Bolesław, a jednak żaden z nich, tak głęboko nie targnął jego duszą. Uczuł mimowiednie, jakiś ból w piersi, porwał się, postąpił ku drzwiom, przeszedł przez oddzielający go od salonu pokój i zajrzał przez uchyloną portjerę. Widział kilku mężczyzn z kielichami w ręku zbliżających się do Musi, w której rączce pienił się w krysztale szampan. Pili jej zdrowie. Ona dziękowała zalotnem spojrzeniem i wdzięcznym uśmiechem.

Widok to, jak w salonach pani Lidji dość zwykły, a jednak w piersi Bolesława szalał ból. Opuścił portjerę i powrócił do książki. Siedział do rana i czytał, jakby to już miało być raz ostatni.

W domu baronowej nic się nie zmieniło na pozór, Bolesław śledził i płakał po nocach. Dla czego?

On wiedział dla czego. Musia wesoła jak zwykle, bawiła się złotą obrączką.

Odtąd już nigdy nie wychodził na jej spotkanie, unikał widzenia się z nią jak najpilniej. W końcu prosił, by mu obiad przynoszono do jego pokoju, bo dla zbliżającego się egzaminu musi się wiele uczyć, radby więc, jak najmniej czasu tracić. Nie wychodził więc do salonów ciotki, siedział, nieustannie zajęty pracą.

W salonie było gwarno i ochoczo. Młoda narzeczona jaśniała całym blaskiem urody i stroju, młodzież zapalała się, nie tracąc nadziei, że może jeszcze się uda odbić towarzyszowi tę piękną zdobycz. Bolesław przyszedł raz popatrzyć na to wszystko, w piersi coś go zakłuło, kaszel porwał go, przytulił chustkę do ust i spojrzał potem. Na chustce była plama krwi. Westchnął na ten widok i drugi raz zakaszlał. Nie chciał swoim suchym kaszlem przerywać wesołej zabawy w salonie, obawiał się, by nie usłyszano, więc tłumił go w sobie, i wyszedł zatykając usta, a na chustce białej, coraz więcej było krwi.

Bolesław kaszlał co raz częściej, chudł i słabł przerażająco. Nie uważał tego nikt. Zamykał się w swym pokoju i mawiał sam do siebie:

— Po co mam im psuć wesołość...

Udało mu się. Baronowa i Musia, zajęte nieustannie strojem i zabawą, zapomniały prawie o Bolesławie, kiedy niekiedy zapytały służącego:

— Co tam panicz porabia?

— Uczy się, proszę pani.

— Dobry chłopak — mówiła baronowa i czuła się w sumieniu zaspokojoną.

Aż dnia jednego przyszedł służący z miną zafrasowaną i powiedział, że z paniczem coś bardzo źle.

Cóż się stało? — zapytała baronowa.

— A no, ja nie wiem, panicz musi być pewno chory, bo nie wstał dotąd, a to już południe; budziłem kilka razy, ale nie odzywa się.

Wkrótce przekonały się piękne panie, że z Bolesławem istotnie było bardzo źle. Młody chłopak leżał martwy. Ręką konwulsyjnie przyciskał skrwawioną chustkę do ust — tak zaskoczyła go śmierć.

W salonie baronowej bawiono się wczoraj w nocy, jak zwykle, wesoło, szalenie, a w cichym pokoiku studenta konał ten, który młodą zalotnicę kochał, dla którego ta miłość była śmiercią.

Bolesław umarł.

Ustawiono pyszny katafalk, wysokie świece rzucały blado żółte światło na twarz wychudłą i bladą. Złożono zmarłego w kosztowną trumnę, obito pokój kirem, woń silna kadzidła przypominała przysłowie: *umarlemu kadzidło.*

Musia ozdobiła trumnę kwiatami pięknymi — ale nie zmówiła ani jednego pacierza za spokój duszy, pewno modlić się nie umiała.

Pogrzeb odbył się świetnie. Młody chłopak umarł, nie zostawiwszy nikogo na świecie, coby po nim zapłakał, coby westchnął, zmówił choć jedno: wieczne odpoczywanie z serca i nabożnie.

Musia była w czarnej sukni, a była jak zwykle, może nawet piękniejszą. Powróciła z baronową do domu, a lica jej nie zbladły, umysł jej nie zasępił się ani na chwilę. Ona płakać nie umiała.

Powróciła z pogrzebu i była wesoła, jak dawniej. Biedny zakochany student pierwszy raz, odkąd tę piękną dziewczynę poznał, usnął spokojnie w mogile.

Jej życie płynęło jak dawniej wesoło, a może weselej?! Wszak zrobiła wielki, świetny los. Córka drwala, była dziś żoną bogatego panicza, opływała w dostatki, dokoła siebie miała zawsze rój cały złotych motyli, dla niej świat w ponętną stroił się szatę, więc nic dziwnego, że Musia zawsze była uśmiechnięta, szczęśliwa...

Kiedy to się dzieje, stary Wojciech marniał wśród trudów pracy. Obok starości, widocznie zmartwienie podkopywało mu zdrowie. Na wyżywienie ledwo mógł zarobić, bo choć, jak dawniej, pracował od świtu do wieczora, brakło już sił i wytrwałości. O pracę trzeba było prawie prosić. Był zawsze smutny i milczący, nie zwierzał się nikomu co mu dolega, a przecież wzdychał ciężko i żalił się przed samym sobą. O losie córki nie wiedział prawie nic. Raz tylko widział ją, jadącą w pysznym powozie obok bogatego jakiegoś panicza. Widział to ojciec stary stojący w ulicy, widział córkę uśmiechającą się, więc sądził, że jest szczęśliwą. A jednak, jakoś smutno westchnął i był jeszcze posępniejszym.

Odtąd unikał jeszcze bardziej ludzi, uciekał prawie, — z obawy usłyszenia czegoś, coby ojcowskie serce ubodło — a słyszał nieraz półszeptem wymawiane imię Musi, ten i ów pokiwał głową i dodał:

— Dziecko to niby naszego starego Wojciecha, o ojcu zapomniała, ani go chce znać, oj, nie godzi się tak, nie godzi...

* * *

Minęło lat z okładem dziesięć. Co się przez ten czas z Musią działo, długoby opowiadać.

Czy była szczęśliwą?

Jeśli szczęściem są dostatki i zbytek, konie, powozy, stroje i klejnoty, to była lat kilka prawdziwie szczęśliwą. Innego szczęścia nie zaznała. Zaledwie przeminął pierwszy szał miłości — Arturowi zdawało się, że Musię kocha i dla tego się z nią żeni, Musi nawet się nic podobnego nie zdawało — mąż zaczął dopatrywać się tysiącznych stron ujemnych tego małżeństwa, a przedewszystkiem dotkliwie czuć mu się dały szyderstwa niegdyś współtowarzyszy w zalotach. Do zabawy było ich wielu, ożenił się jeden, a wszyscy śmieli się — najpierw po cichu, potem co raz głośniej, ba nawet zaczęli usuwać się od kochanego Arturka, tem bardziej, że temu ponoś groziła ruina majątkowa.

Z pierwszego niezadowolenia rodziły się co raz to nowe niesnaski i rozterki. Przyszły inne, gorsze jeszcze chwile a w domu zamiast niezgody, były już otwarte, groźne burze, aż nagle świat wielki dowiedział się ku ogólnemu zadowoleniu, że Arturostwo gdzieś znikli; to tylko było pewne, że każde w inną udało się stronę.

Tyle tylko wiedziano: minęło kilka tygodni, miesięcy, a zapomniano o nich zupełnie i nigdy już nikt ich nie spotkał, nikt żadnej nie przyniósł o pięknej Musi wiadomości.

* * *

Mróz był trzaskający. Co żyło, kryło się do domów, ustał nawet świergot naszych wróbli, tych wiernych towarzyszy naszych strzech rodzinnych.

Wieczór, już późno, zapukano do wrót szpitala sióstr miłosierdzia. Drzwi te chętnie się otwierają, nieraz aby dać kilkogodzinne schronienie tym, co radziby spocząć jeszcze trochę i usnąć na wieki nie na twardym, zimnym bruku ulicznym.

Wniesiono człowieka starego, zbiedzonego, którego głód i zimno powaliły z nóg. Złożyli go na miękko usłanem łożu, w ciepłej izbie i zakrzątano się koło niego. Twarz blada, chuda, zdawała się dawno, już dawno z nędzy zamarła, a teraz długo nie można się było w niej dopatrzeć znaku życia.

Chorych było wielu, siostry miały wiele pracy w innych pokojach, przy nowym przybyszu zostawiły siostrę Magdalenę.

Zimny, jakby pół martwy spokój rysował się w każdym ruchu, dość młodej jeszcze zakonnicy. Zbliżyła się do łóżka i zdawało się, że wyczekuje skutku ciepła i kropel ożywczych, któremi jedna z sióstr zwilżyła usta omdlałego. Patrzyła chwilę bezmyślnie przed siebie i ocknęła się dopiero, gdy pierwszy, głęboki oddech wydobył się z piersi powracającego do przytomności.

Pochyliła się nad łóżkiem, lampę zbliżyła do twarzy chorego, który w tej chwili otworzył oczy. Lampa zachwiała się w ręku siostry Magdaleny, a ona klęczała już przy łożu i przyciskając suchą, spracowaną dłoń żebraka wołała łkając:

— Ojcze, mój ojcze!

Chory żebrak patrzał przed siebie, jakby z przerażeniem, ojcem dawno, dawno już nikt go nie nazywał; przed nim klęczała siostra miłosierdzia.

Lampa wypadłszy z rąk zakonnicy zapłonęła teraz szeroko na podłodze, oświecając łóżko, — chorego i Magdalenę.

Stary Wojciech, bo to on był, poznał zakonnicę, patrzył i patrzył, a z piersi wydobył się suchy głos:

— Musia...

Nic więcej nie mówił. Głód dokonał tego, czego jeszcze zgryzota dotychczas nie zdołała. Nad ranem, ledwo szarzeć zaczęło leżał już stary Wojciech spokojnie, martwy z krzyżykiem w skostniałem ręku.

Przy nim klęczała siostra Magdalena. Lecz teraz już nie było w niej tego zimnego spokoju, na jej twarzy wyrył się głęboki ból, rozjaśniony żalem, skruchą. Łzy perliły się na rzęsach, usta szeptały modlitwy, a serce po raz pierwszy może biło gwałtownie.

Jakże piękną była ta zmiana, a była ona chyba dziełem modłów matki — tam w niebie i ojca, co choć prostak, i szczę-

ścia nie umiał dziecku zapewnić, kochał je po swojemu, — jak drwal kochać może i umie.

W pokoju klasztornego szpitala uroczysta była cisza, spokój święty, niezamącony, skrzydłem otoczył *nawróconą*...

KONIEC.

WSPOMNIENIA I PISMA

Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

(Ciąg dalszy)

Kossuth w Paryżu.

Pierwsze narady z księciem Napoleonem.

Przybyliśmy do Paryża 4-go maja wieczorem.

Nazajutrz rano pojechałem z Telekim i Klapką do księcia.

Gdyśmy po zwykłych powitaniach zajęli miejsca, książę podziękował mi w imieniu cesarza, że przybyłem na ich zaproszenie. Następnie oznajmił, że wojna z Austrją jest rzeczą wielkiej wagi, oraz, że cesarz pragnie, aby naród węgierski skorzystał z tej sposobności i odzyskał swą niepodległość; że wreszcie cesarz przyrzeka nam w tej mierze swą pomoc.

W skutek tego książę prosił nas, abyśmy z całą otwartością wypowiedzieli swoje życzenia, tak, iżby mógł wymiarkować, czy ja jestem skłonny przyrzec współudział z mej strony i na jakich mianowicie warunkach. Dodał przytem książę, że ma złożyć o rezultacie naszej narady raport cesarzowi, i że pragnie, aby raport ten mógł być tego rodzaju, żeby cesarz mógł osobiście i stanowczo powiedzieć, że pogląd mój podziela.

— Co do mnie, kończył książę, żywię gorącą sympatję dla kraju waszego, i szczęśliwy byłbym, panowie, gdybym mógł pośredniczyć w sposób pomyślny w sprawie porozumienia waszego z cesarzem.

Odpowiedziałem na te słowa:

— Przyjmuję z wdzięcznością oświadczenie Waszej Wysokości i wynurzam słowa podzięki za sympatję jej dla mej ojczyzny. Ale pozwoli książę mieć tę nadzieję i to przekonanie, że w polityce interes decyduje w ostatniej instancji. Dla tego pozwolę sobie położyć nacisk na to, że skoro cesarz uznał za właściwe podjąć sprawę rozwiązania kwestji włoskiej, będącej źródłem ciągłych niepokojów i postanowił wystąpić przeciw Austrji, aby tym sposobem poprzeć słuszne pragnienia i dążenia narodu włoskiego, że zatem mojem pragnieniem jest aby i nasza sprawa w tem przedsięwzięciu uwzględniona została. Mamy wspólnego nieprzyjaciela. Jeżeli cesarz udzieli nam swego poparcia o tyle, że naród mój będzie w stanie na nowo rozpocząć walkę o niepodległość, mniemam, że ułatwi tem samem o wiele własne zadanie, a szansy i nadzieje zwycięztwa w pewność się zamieniają. Niepodległość Węgier doda trwałości celom, jakie cesarz sobie zamierzył, bo Węgry niepodległe, a zatem odjęte od Austrji, czynią z niej państwo niezdolne w przyszłości bruździć w sprawie włoskiej, nie dozwolą jej przy pierwszej zdarzonej sposobności powetować strat przez wojnę poczynionych. A stałoby się to niewątpliwie, gdyby Austrja miała nadal państwem pierwszorzędnem pozostać. Przyjmuję zatem jako punkt wyjścia pewną wspólność interesów. Ale dla tego właśnie nie przewiduję, abym mógł osiągnąć łatwo porozumienie z Waszą Wysokością i z cesarzem, o ile nie będę dostatecznie zapewniony, że Węgry objęte są polityką cesarza nietylko w rubryce środków działania, ale że stanowią cel same w sobie, cel związany, połączony bezpośrednio z głównym celem i pobudkami wojny. Zanim więc zejdę do bliższych szczegółów i wyjaśnień, pozwól mi mości książę zapytać, jakie są zamiary cesarza odnośnie do Węgier?

Książę. — Cesarz pragnie, aby Węgry stały się państwem niepodległem. Innych zamiarów nie ma. Jest zdania wreszcie, że narodowi madjarskiemu winna być pozostawiona wszelka swoboda w rządzeniu się sobą; do spraw wewnętrznych Węgier mięszać się nie widzi potrzeby, postawiłby tylko jeden warunek: aby Madjarowie nie utworzyli rzeczypospolitej, ale aby poprzestali na monarchji konstytucyjnej. Mniemam, że nic panowie nie możecie mieć przeciw temu, skoro pragniecie zawrzeć przymierze z monarchami.

Ja. — Przeciwko temu nic nie mam. Zresztą monarchja konstytucyjna zgadza się najzupełniej z tradycyjnemi uczuciami naszego narodu. Cała przeszłość Węgier jest monarchiczna, a historja dziewięciowiekowa pozostawia, bądź co bądź, trwałe ślady w charakterze i usposobieniu narodu. Co do mnie, osobiście, jestem republikaninem, ale przedewszystkiem jestem patrjotą w obec kraju, milkną moje teorje i poglądy osobiste. Mniemam jednak, że należy uwzględniać interesa w miarę ich wagi i wartości. Kwestja węgierska, to kwestja istnienia lub nieistnienia politycznego i narodowego. Jest to więc interes najpierwszy i najważniejszy, w obec którego kwestja formy rządu zupełnie drugorzędne zajmuje stanowisko. Temi powodowany zasadami, jeszcze w roku 1848 sam zaprojektowałem, aby w deklaracji niepodległości zapisano, że gdy przyjdzie chwila zajęcia się formą rządu, zastosujemy się do wymagań płynących z ogólnego położenia w Europie, projekt ten przyjęty został przez naród jednomyślnie. Otóż w obecnej chwili zarówno wymagania z ogólnej płynące sytuacji, jak również i ten fakt, że wchodzimy w sojusz z monarchami, prowadzą nas z konieczności do monarchji konstytucyjnej. Wobec tego przyjmuję bez żadnych zastrzeżeń ten warunek cesarza i zaręczam Waszej Wysokości, że zostanie on przez naród przyjęty. Aby jednak być w stanie pokierować opinją publiczną w kraju, pragnąłbym wiedzieć, jaka osobistość konweniowałaby najlepiej cesarzowi na tronie węgierskim?

Książę. — W tej mierze cesarz pozostawia zupełną swobodę i żadnych życzeń osobistych nie żywi.

Ja. — Rozumie się, że nie możemy myśleć o rozporządzaniu koroną węgierską. Nie mamy nawet prawa potemu. Ale znam moją ojczyznę. Wiem, że wdzięczność stanowi jedną z najwydatniejszych właściwości jej charakteru. Otóż gdyby Węgry w następstwie przyszłych usiłowań, miały odzyskać niepodległość dzięki pomocy cesarza, pomoc tę miałyby do zawdzięczenia nikomu innemu, jeno Waszej cesarskiej Wysokości i Jej poparciu. Powiedziawszy to, nie mam powodu taić mego przekonania, kraj nasz ofiarowałby Waszej Wysokości koronę świętego Stefana.

Na te słowa książę, który siedział wprost mnie obok nie wielkiego stolika, podniósł się całem ciałem, stanął przedemną i po chwili skłoniwszy się poważnie, odrzekł:

— Pojmuję zaszczyt, jaki mi ta propozycja sprawia i składam panu zań podziękę. Proszę jednak, niech o tem więcej mowy nie będzie, a nadewszystko nie wspominaj pan o tem ani słowa, gdy będziesz mówił z cesarzem. My, Bonapartowie, nauczyliśmy się wiele z historji naszego stryja. Nauczyliśmy się nietylko tego, co powinniśmy czynić, ale czego należy nam unikać. Do tej ostatniej właśnie kategorji należy kombinacja polegająca na obsadzaniu europejskich tronów członkami naszej rodziny. Jest to niechybna droga wiodąca do koalicyj europejskich. Wybaczy pan zatem, gdy powiem, że nie możemy narażać losu dynastji napoleońskiej we Francji, choćby za cenę korony świętego Stefana. Niechaj więc o tem mowy między nami nie będzie. Zostawmy sprawę tę na stronie, a zajmijmy się raczej praktyczną stroną zadania. Powiedz mi pan, proszę, jakie są pańskie pragnienia w przedmiocie uzbrojenia narodu, jakie widoki ze względu na kampanję włoską, jakie środki do podjęcia walki za wolność Węgier?

Ja. — Posłuszny jestem Waszej Książęcej Mości. Niechaj przyszłość troszczy się sama o rzeczy, które jej są. Przejdźmy do strony praktycznej i pozwól mi książę w tym celu, abym najpierw naszkicował dla wyjaśnienia sytuacji, jakie jest moje stanowisko w tej sprawie.

Mniemam, że książę zna o tyle moją przeszłość, że uwierzy mi, gdy powiem, że bez mojego współudziału, można próbować ruchawek na Węgrzech — i to tylko próbować — ale że o powstaniu całego narodu myśleć nawet nie można. Jest to naturalnem następstwem przeszłości i podobno, gdybym ja sam chciał to odmienić, nie byłbym w stanie tego dokonać. Wypływa ztąd to następstwo, że dopóki żyję, albo dopóki nie przepadnę sam, czy to w znaczeniu politycznem czy moralnem, dopóty sprawa niepodległości Węgier będzie do tego stopnia skojarzona z mojem imieniem, z moją osobą, że gdyby wezwano bez mojego udziału naród do broni, wezwanie to przyjęteby zostało z powątpiewaniem i nieufnością przez masy narodu.

Wszędzie mówionoby wśród ludu:

— To musi być podejrzane. Bo gdyby to było dobre, toby z pewnością Kossuth należał do tego. Czekajmy co on na to powie.

Położenie, chciej W. Ks. Mość wierzyć, jest takie a nie inne.

Obecni tu moi przyjaciele, którzy pierwsi rozpoczęli pertraktacje z Waszą Książęcą Mością i z Piemontem, wiedzą przecież o tem bardzo dobrze. I nie sądzę, abym się bardzo mylił utrzymując, że tej okoliczności winienem zawdzięczać i to że ja, któremu wzbroniony był wstęp na stały ląd Europy, mam jednak w tej chwili zaszczyt konferować z W. Ks. Mością w Paryżu. W każdym razie odda mi W. Ks. Mość zupełną sprawiedliwość, jeżeli nie zechce przypuszczać żadnych z mej strony osobistych zachcianek, za-

dnych ubocznych dążeń. Przeciwnie, nietylko nie żądałem i nie starałem się osiągnąć tego stanowiska jakie posiadłem, ale z uwagi na wielką odpowiedzialność, jaką ono za sobą pociąga, uważam je za wielki ciężar. Jestem wszakże gorącym patrjotą i uczciwym synem mej ojczyzny i uważam za mój święty obowiązek nie usuwać się od spełnienia wielkiego a trudnego zadania. Jestem bowiem przekonany, że dopóki nie znajdzie się kto inny, mogący mię naprawdę zastąpić, dopóty nikt w kraju nie zdoła zgromadzić pod sztandarem narodowym tak licznych jak ja zastępów. Jest to koniecznem następstwem wielkiego zaufania, jakie naród we mnie położył.

Powiedziawszy to, jak rzekłem, dla wyjaśnienia położenia, nie potrzebuję już powtarzać, jak wielka cięży na mnie odpowiedzialność. Bardziej niż ktokolwiekbądź winienem zastanowić się, aby krew moich współbraci nie popłynęła na marne wskutek nierównowagi. Pociągnąć naród do wojny, nie przedstawiającej warunków upragnionego wyzwolenia, byłoby zbrodnią z mej strony. Nie wolno mi nadużywać w ten sposób zaufania we mnie położonego. Owszem, obowiązkiem moim jest ustrzedz naród, który tyle przecierpiał od dalszych klęsk i cierpień, przeszkodzić spełnieniu niedojrzałych i nierozważnych projektów, które mogłyby narazić przyszłość kraju, pozbawić go może swobody na zawsze.

I dopóki nie będę mógł powiedzieć narodowi z ręką na sercu: „Powstań narodzie! bo oto przygotowaliśmy łatwą drogę do wyzwolenia twego, powstań, bo wyzwolenie twoje od ciebie samego już tylko zależy!“ dopóki tego nie będę mógł powiedzieć, dopóty o pobudzeniu narodu do powstania myśleć mi nie wolno.

Wasza Ks. Mość może być pewnym, że pod tym względem przyjaciele moi Teleki i Klapka, jednego są ze mną zdania.

Sumiennie zatem na uczynione przez W. Ks. Mość zapytanie, czego potrzebujemy w tej chwili, odpowiadam:

Potrzebujemy najpierw zapewnień czysto materjalnej natury, któreby nas przekonały, że powstanie Węgier nie jest obliczone na prostą dywersję strategiczną, której celem byłoby rozproszenie sił Austrji, a tem samem ułatwienie zwycięztwa we Włoszech.

Potrzebujemy zapewnienia, że i Napoleon i Wiktor Emanuel przyjmą i uznają sprawę niepodległości Węgier, jako łączną i nierozdzielną, oraz mającą mieć równoległe rozwiązanie z kwestją włoską. Oświadczenie tej wagi powinno być rozumie się jawne.

Potrzebujemy wreszcie zapewnienia, że w razie gdy Węgry na tej podstawie powstaną przeciw Austrji, nie będą pozostawione samym sobie, a w razie zwycięztwa we Włoszech, nie zostanie zawarty pokój, dopóki Węgry nie zostaną wyswobodzone z pod panowania Austrji i ukonstytuowane jako państwo samoistne.

Powyższe zapewnienia uważamy za warunki *sine qua non.*

Obowiązkiem naszym też jest oświadczyć W. Ks. Mości, że pod żadnym pozorem od nich nie odstąpimy i że tylko w razie przyjęcia ich możemy przyrzec współudział nasz i naszego narodu przeciw Austrji.

Jeżeli cesarz nie będzie uważał za możliwe dać nam tych zapewnień, gorzko nam będzie na sercu, że nie możemy skorzystać z tej sposobności, którą sama Opatrzność zdaje się nam ku wyzwoleniu nastręczać. Pozostaniemy na wygnaniu i pocieszać się będziemy tą myślą, że jakkolwiek nie mogliśmy stać się użytecznymi krajowi, to przecież ustrzegliśmy go od nowych cierpień, od nowych boleści...

Przez chwilę trwało milczenie. Wreszcie książę, który słuchał mojego oświadczenia z wielką uwagą, odrzekł:

— Wyznaję, że słowa pańskie przynoszą zaszczyt patrjotyzmowi i uczuciom, jakie pan ma dla kraju. Ale widzę się zmuszonym przypomnieć to, co już powiedziałem, że cesarz ma stanowczy zamiar, aby jednem z następstw tej wojny była niepodległość Węgier. Dla tego przypuszczam, że gdyby cesarz zapewnił pana o tem osobiście, zapewne uważałby się pan w tej mierze za zupełnie zaspokojonego.

Ja. — Bylibyśmy bezwątpienia zaspokojeni, gdyby tutaj o nas jedynie chodziło; tak jest, powierzylibyśmy wówczas bez obawy los nasz cesarzowi. Ale chodzi tu o naszą ojczyznę. Sprawy jej muszą być najstaranniej pilnowane i dla tego potrzebna jest nam gwarancja faktyczna, któraby tak narodowi jak i nam samym wydała się poważną i bezpieczną. Z prawdziwą więc radością przyjmiemy przyrzeczenie uczynione przez tak potężnego panującego, jakim jest cesarz Francuzów; ale niepodobna nam zapomnieć, że historja wojen za niepodległość Węgier, przedstawia już niejednokrotny wypadek życzliwych dla nas intencyj gabinetu Tuilleryjskiego, pozostały jednakże te intencje bez skutku, nie dla tego, iżby zamiary nie miały być poważne i szczere, ale dla tego, że brakło warunków przyjaznych dla ich urzeczywistnienia. Wobec tego obowiązani jesteśmy przypuścić tę ewentualność, iż to samo mogłoby się jeszcze powtórzyć, bo koniec końców nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaki obrót mogą przyjąć wypadki. A przyzna mi W. Ks. Mość, że w razie gdybyśmy na wiarę prostej obietnicy wezwali naród do broni, okoliczności zaś przybrałyby postać nieoczekiwaną i tak groźną, że cesarz nie uważałby za właściwe lub możliwe dopełnić swych wspaniałomyślnych zamiarów, że wobec dokonanej już przez nas nowej rewolucji, wobec tego niecofnionego już faktu położenie kraju stałoby się niewątpliwie jeszcze gorszem, jeszcze boleśniejszem niż obecnie, przyszłość zaś tego rodzaju byłaby okropną. Niechaj zatem Najjaśniejszy Pan sam orzeknie, czy może się zobowiązać w myśl naszych pragnień. My stoimy na straży i obowiązkiem naszym jest przestrzegać, aby wezwano naród węgierski do powstania dopiero w chwili, gdy cesarz uzna, że nadeszła pora odpowiednia potemu, iżby bez trudności udzielić ojczyźnie naszej tych niezbędnych gwarancyj, o których miałem zaszczyt mówić.

Książę. — Jakie są te gwarancje?

Ja. — Gwarancje, których wymagać poczytujemy sobie za obowiązek, są następujące:

1. Ukazanie się sztandaru francuskiego na terytorjum węgierskiem; sztandar ten przewodniczyć będzie wojsku francuskiemu w tej ilości, jaką cesarz uzna za właściwą dla podtrzymania honoru wojskowego tegoż sztandaru.

2. W chwili, w której wojsko francuskie wraz ze sztandarem stanie na węgierskiej ziemi, cesarz wyda proklamację do narodu węgierskiego, w której oznajmi, że prowadząc wojnę z Austrją i uznając naród węgierski za przyjacielski i sprzymierzony, posyła do Węgier wojsko swoje, aby to umożliwiło Węgrom wykonanie deklaracji niepodległości z r. 1849, że dalej cesarz Francuzów, który, jak sam wyznaje, oparł tron swój na wszechwładztwie ludu, uznaje deklarację niepodległości za ważną i mającą swą siłę, pomimo że wykonanie jej zostało wstrzymane skutkiem interwencji przeciwnej prawu narodów; że deklaracja ta wreszcie zachowała swą siłę, skoro naród węgierski korzystając z przysługującej mu władzy po pełnej chwały walce, w której dowiódł, że ma prawo do niepodległości, skoro ten naród, powtarzam, jednomyślnie odsądził dom austrjacki od tronu, poczem Węgry stały się państwem niezależnem i pozostały niem dotąd, skoro żadna uchwała narodowa powyższej daklaracji nie zniosła.

Takie są gwarancje, które poczytujemy za niezmienione warunki naszego współudziału. Możemy wszakże zapewnić W. Ks. Mość, że gdy gwarancje te zostaną naszej ojczyźnie udzielone, że gdy pod opieką sztandaru i wojska francuskiego staniemy na ziemi naszej z zastępami, które natychmiast utworzymy we Włoszech, z emigrantów, jeńców i dezerterów węgierskich, jak tylko będziemy mieli po temu upoważnienie i możność; że wreszcie gdy poparci proklamacją cesarza zawezwiemy naród do broni, — wówczas z szybkością (a złożyliśmy już jej dowody) przyjdzie uorganizować wojsko parukroćstotysięczne, pełne zapału, silne sobą, swemi prawami i poparciem narodu. Wówczas, pozwól mi W. Ks. Mość być stanowczym, wywrzemy stanowczy wpływ na zwycięztwo cesarza i pobijemy wspólnego nieprzyjaciela na głowę.

Zwrócę jeszcze uwagę W. Ks. Mości, że powstanie naszego narodu wprowadzi po części element rozkładowy do szeregów nieprzyjacielskich.

W razie udzielenia nam gwarancji, z całą swobodą i spokojem będziemy mogli zastanowić się nad ewentualnościami, obliczyć je i być gotowymi na wszystko, coby spotkać nas mogło. Dzięki bowiem potężnej pomocy cesarza Francuzów i króla sardyńskiego, nasza sprawa w oczach wszystkich byłaby ich sprawą. a sam ten fakt oddziałałby tak zbawiennie na nasze wojsko, że pod jego wpływem cudów byłoby zdolne dokazać.

Jeszcze jedno, Mości Książę. W naszej proklamacji, którą my, przewodnicy narodu, wydalibyśmy, powołując się, rozumie się na proklamację cesarza, oświadczylibyśmy, że dopóki naród nie obmyśli sobie formy rządu (do czego we właściwym czasie zostałby powołany), zarządzałby sprawami kraju rząd tymczasowy pod przewodnictwem tego, którego deklaracja niepodległości w r. 1849 naczelnikiem rządu mianowała; byłoby nawet ze względów praktycznych do życzenia, aby uczyniona była o tem wzmianka w proklamacji cesarskiej.

Książę. — Na to zgadzam się chętnie. Uważam to za pożyteczne, nawet i za potrzebne. Zwrócę wszakże pańską uwagę, że cesarz bardzo nierad byłby, gdyby miał do czynienia z licznym komitetem. Sprawa ta powinna być omawiana poufnie i mamy nadzieję, że przyjdzie nam kombinować się tylko z panami trzema. Czy macie panowie jeszcze co do powiedzenia?

Ja. — Byłbym nad wyraz szczęśliwy, gdybym został upewniony, że nie mamy potrzeby obawiać się interwencji obcej.

Książę. — Zdaje mi się, że w tej mierze możecie być panowie spokojni. Mogę przynajmniej stanowczo zapewnić was, że interwencji rosyjskiej lękać się nie macie tym razem powodu.

Ja. — Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o pomocy materjalnej, o pieniądzach i broni. Jesteśmy biednymi wygnańcami — jako tacy nie możemy zjawić się z naszym podpisem na żadnym rynku pieniężnym. Jeżeli cesarz przyjmie warunki tutaj przezemnie wyłuszczone, mniemam, że sam uzna za słuszne, abyśmy przystąpili do dzieła przygotowani jak można najlepiej. Jestem zmuszony przytem wyznać, że pomoc pieniężna i broń nietylko są nam potrzebne do uorganizowania sił naszych za granicą, ale że w Węgrzech nawet będziemy potrzebowali uciekać się do wspaniałomyślności cesarza, dopóki nie zdołamy utworzyć zupełnej obrony narodowej sumptem kraju samego. Pomoc w ten sposób otrzymana obciążyłaby rozumie się rubrykę długu narodowego, którego spłata zostałaby oczywiście później obmyślana. Zdajemy się w tej mierze na wolę cesarza. Dodam jeszcze, że dla pomyślnego dopełnienia przygotowań wojennych, protekcja cesarza będzie nam potrzebna nietylko w Piemoncie i na Węgrzech ale zarazem w Serbji, Mołdawii i Wołoszczyźnie, jako krajach z nami sąsiadujących. Ważności tego, zdaje się nie mam potrzeby dowodzić.

Książę. — Mniemam, że o ile nastąpi porozumienie co do rzeczy głównych, podstawowych reszta przyjdzie sama z siebie. Zdam niezwłocznie cesarzowi sprawę z naszej rozmowy. Nie potrzebuję, zdaje mi się dodawać że raport mój nietylko będzie wierny, ale życzliwy. Jeżeli cesarz uzna słuszność pańskich poglądów, niewątpliwie będzie chciał z panem osobiście się rozmówić. Nastąpiłoby to zapewne jeszcze dziś wieczorem. Gdzie będzie można pana o tej porze zastać?

Ja. — Będę na obiedzie u pułkownika Kissa, przy ulicy St. Dominique i pozostanę u niego na wieczór. Tam będę oczekiwał instrukcji Waszej Książęcej Mości.

Książę. — Wiem gdzie mieszka pułkownik de Kiss. Jeżeli cesarz będzie chciał z panem się widzieć, przyjadę po pana sam i pojedziemy do cesarza.

Tak się stało.

Wieczorem o jedenastej książę przybył do pułkownika Kiss de Nemeskér i pojechaliśmy do Tuilleries.

Weszliśmy do apartamentów cesarskich i przeszedłszy szereg salonów, zatrzymaliśmy się w sali ozdobionej trofeami wojennemi, która dotyka gabinetu cesarza. Tu ja pozostałem, książe wszedł do gabinetu, aby oznajmić cesarzowi moje przybycie.

Chwilę później znajdowałem się w pokoju człowieka, który trzymał losy narodów w swem ręku i był podówczas u szczytu potęgi.

Ujrzawszy mię wchodzącego, Napoleon III. powstał, postąpił kilka kroków ku mnie i uścisnąwszy serdecznie dłoń moją, nie omieszkał wyrzec tradycjonalnego powitania:

— Enchanté de faire votre connaissance.

Książę wydał rozkaz, aby nikt nam nie przeszkadzał.

Zajęliśmy miejsca.

Rozmowa nasza trwała dwie godziny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z HEINE'GO.

Księżyca twarz rozwidniona
Po falach światłość rozlewa;
Ja lubą tulę do łona,
Rozkoszą serce nabrzmiewa.

Na całym brzegu sam jestem
W słodkiem objęciu dzieciny...
— Czy wiatr cię trwoży szelestem?
Z jakiej drży dłoń twa przyczyny?

— To nie jest wiatru szmer ostry,
To pieśń rusałek tak dzwoni;
To wyśpiewują me siostry,
Co śmierć znalazły w tej toni.

St. Rossowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W ubiegłym tygodniu spalił się jeszcze niewykończony teatr w Pradze, gmach pod względem struktury liczący się do pierwszorzędnych. Strata dla Czechów jest nadzwyczaj bolesną, albowiem przez lat trzydzieści zbierali oni cent po cencie aby zbudować przybytek dla muzy czeskiej, i wtedy właśnie, gdy byli u schyłku spełnienia swych długoletnich marzeń i nadziei — los opiekun przygotował im tak fatalną niespodziankę. Wypadek ten szczerze zasmucił naszą publiczność i wywołał mnóstwo projektów dla przyjścia z pomocą naszym współplemieńcom. Pan Miłaszewski dał przedstawienie Halki na ich korzyść, gazety zbierają datki w swoich redakcjach, Harmonia urządza festyn z loterją, dziennikarze przygotowują jakiś album — słowem rozpoczęto bardzo energiczną agitację w tym celu. Z naszej strony nie mamy nic przeciw okazaniu sympatji i współczucia dla Czechów, zwłaszcza odkąd oni zdają się iść razem z nami w polityce państwowej, lecz z drugiej strony, nie uważamy koniecznie potrzebnem forsowanie tej rzeczy w imię dobrego i litościwego serca polskiego. Zastrzegamy się z góry przeciw wszelkim zarzutom i posądzeniom o niesolidarność słowiańską i brak sympatji, lecz radzibyśmy widzieć chociaż połowę tej gorliwości rozwiniętej u nas, gdy idzie o nasze domowe interesa. Najprzód Czesi nie są tak biednym narodem, ani tak mało patrjotycznym, żeby sobie nie mogli postawić nowego teatru własnemi siłami; — przynajmniej nie słyszeliśmy nigdy, aby tam gdzie nad Mołdawą ludzie umierali z głodu. Przeciwnie, o ile wiemy, jest to kraj daleko zamożniejszy od naszej Galicji w pełnym rozwoju handlu, przemysłu, rolnictwa i oświaty. Dalej nie słyszeliśmy nigdy, aby prócz pięknych słów o miłości braterskiej — choć jeden cent wpłynął kiedy na wspomożenie naprzykład naszych powiślan dotkniętych powodzią, na naszą oświatę ludową, na teatr nasz, lub coś podobnego. Pod hasłem „Narod sobe" Czesi z godnem najwyższego uznania patrjotyzmem pracują, myślą i robią ofiary dla siebie. Pod tym względem mogą nam posłużyć za wzór godny naśladowania ze swoją Maticą, Bankiem krajowym, Muzeum i dziesiątkami istytucji powstałych z ofiarności narodu. U nas, zatopi się Szegedyn, albo zawali Zagrzeb — biegniemy z ofiarami. — Potrzebuje Szląsk — dajemy, potrzebują Łużyczanie dajemy — potrzebuje Rzym dajemy; słowem niech kto rzuci jakiebądź hasło do składek, wspaniałomyślny Polak spieszy z większym lub mniejszym datkiem. Ale jak potrzeba postawić jeden jedyny pomnik największemu poecie nietylko naszemu, ale nawet wszechświatowemu, to przez kilkanaście lat usilnych pukań do serc, do patrjotyzmu i do kieszeń rodaków, zbierze się z wielką forsą trzydzieści tysięcy reńskich! A cóż tu mówić o innych naglących potrzebach krajowych, gdzie pomoc publiczna wieleby mogła zdziałać. Ile to dzieci, nie mówię już w całym kraju, ale w samej stolicy we Lwowie nie chodzi do szkoły i nie uczy się dla braku pomieszczenia? Ile setek, tysięcy rąk próżnuje przez całą zimę dla tego, że nienauczono ich żadnego rzemiosła, któreby dając im sposób zarobkowania, uchroniło od nędzy. Ale o tem mało kto myśli, bo nikt nie będzie ostentacyjnie dziękował i wychwalał wspaniałomyślności polskiej za granicą. Dlatego wprzód nim zaczniemy zajmować się innymi, wypadałoby pozałatwiać domowe sprawy także pod hasłem „Naród przedewszystkiem sobie". A kiedy już staniemy choćby na tym stopniu rozwoju ekonomicznego, na którym stoją dziś te nieszczęśliwe Czechy, budujące ze składek rodaków teatra za parę miljonów, wtedy wolno i nam będzie spieszyć z materjalną pomocą innym. Nic nie pomoże, pierwsza miłość powinna być dla siebie, inaczej powiedzą o nas tylko: że znać Polaka po cholewach!

ROZBITKI.

Komedja w 4-ch aktach

przez

JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

»Mojej żonie w upominku.«

OSOBY:

SZAMBELANIC CZARNOSKALSKI.
SZAMBELANICOWA.
MAURYCY, GABRYELA } ich dzieci.
DZIEŃDZIERZYŃSKI.
POLA, jego córka.
WŁADYSŁAW CZARNOSKALSKI.
KOTWICZ DAHLBERG CZARNOSKALSKI.
JAN STRASZ.
ŁECHCIŃSKA.
ZUZIA.
MICHAŁEK, strzelec Dzieńdzierzyńskiego.
SŁUŻĄCY Szambelanica.
1., 2. } chłopcy z cukierni.

Rzecz dzieje się na wsi, w majątku Czarnoskalskich, z wyjątkiem aktu III-go, który odbywa się w Warszawie *).

AKT I.

Polanka w lesie — z lewej, w głębi domek leśniczego — z prawej, na przodzie ławka pod drzewem.

SCENA I.

Zuzia, Michałek (stoją przed drzwiami domku; Michałek pije z dzbanka).

Michałek (oddawszy dzbanek).

No, Bóg zapłać... to i dziad więcej nie powie... (otarłszy usta). A teraz do widzenia.

*) Strona prawa i lewa w informacjach wzięte od publiczności.

Zuzia. Gdzież się tak śpieszysz?

Michałek. Muszę iść, bo stary się tam skręci bezemnie... (słychać zdala parę chrapliwych zadęć trąbki). O! słyszysz? rozumiesz ty to? to się znaczy, że mieliśmy się strąbić... Ale nie myśl, żeby to było takie strąbienie, jak np. arakiem... broń Boże! to się znaczy, że on trąbi na mnie i powiada: (naśladując trąbkę). Miszel! chodź sam tu!... a ja mu powinienem odtrąbić: (tak samo) Idę! idę! idę! (dobywa z torby fajeczkę i nakłada).

Zuzia. To idźże już sobie, kiedy ci tak pilno... (odnosi dzbanek i wraca po chwili z koszykiem).

Michałek (który przez ten czas zapalił fajeczkę).

A ty dokąd z tym koszykiem?

Zuzia. Na rydze. Ty sobie, ja sobie...

Michałek. Hola, czekajno... nie wiem, czy to dla ciebie bezpiecznie.

Zuzia. A to dla czego?

Michałek. Dla tego, że ja tu dopiero co spotkałem kogoś.

Zuzia. Cóż dziwnego? wszakże dziś polują.

Michałek. Polują... polują... ja wiem!... ten ten też poluje, ale mnie się to polowanie nie bardzo podoba.

Zuzia. O, nie pleć.

Michałek. Widzisz, zrozumiałaś mnie, boś raki spiekła...

Zuzia. Co ci się śni, nawet nie wiem o kim mówisz.

Michałek. Nie wiesz? doprawdy? (patrząc jej w oczy). A wasz panicz, pan Maurycy? hę?... spojrzyj mi w oczy... (wskazując palcem) he, he... a widzisz!

Zuzia. No to cóż, że czasem do nas zajrzy? przecie moja nieboszczka matka go wypiastowała.

Michałek. Hm!... wiem, wiem... ale słuchajno, już kiedy tak, to żeby przynajmniej znał się na rzeczy, i pamiętał o tobie...

Zuzia. Jakto?

Michałek. Ano, żeby było przecie czem zacząć jak się pobierzemy.

Zuzia. Hm, toś ty taki? nie chodzi ci o mnie, tylko o pieniądze?

Michałek. Każdemu o to powinno chodzić... nie myśl żebym ja cię miał namawiać na jakie złe rzeczy, boć to przecie byłoby na moją skórę... ale widzisz, kto ma rozum, to drze łyka kiedy się da.

Zuzia. Ej, żebyś czasem nie żałował, jeżeli to mówisz na prawdę.

Michałek (n. s.). Udaje że się gniewa, ale dobrze, że jej powiedziałem... niech wiedzą żem ja nie ślepy... może człowiekowi co z tego kapnie... (słychać trąbkę; głośno) Masz! znowu trąbi... trza lecieć... (odchodzi na prawo).

SCENA II.

Zuzia, (po chwili) *Kotwicz,* (później) *Łechcińska.*

Zuzia (sama; po chwili zastanowienia). A to!... czy on na prawdę mówi, czy tylko tak, żeby się czego dowiedzieć... Coby mi nawet przez myśl nie przeszło, tego on mnie sam uczy... (p. c.) niech on jeno sobie z tego żarcików nie robi, bo jeszcze kiedy mu to na złe wyjdzie... (wchodzi na chwilę do domku).

Kotwicz (wchodzi z prawej strony, rozglądając się). Tu jest, tu go nie ma... że też ja ich nie mogę nigdy zdybać razem, a wiem że myszkuje... sekreta przedemną.. co mu się stało!... bardzobym chciał mieć czarne na białem.. (spostrzegłszy Zuzię, która wyszła zarzucając chusteczkę na głowę) O! jest jedno, pewno i drugie niedaleko „pod umówionym jaworem"... (zastępując jej) gdzież to rybcia idzie? hę?

Zuzia. Na spacer.

Kotwicz. Ale fe! tak na pojedynkę, czy ma się z kim zejść?

Zuzia. Co panu po tej ciekawości.

Kotwicz (grożąc żartobliwie). Rybciu! (za trzymując ją) Muszę się dowiedzieć.

Zuzia (wydarłszy mu się) O! tyle!... (pokazuje mu figę i wybiega).

Kotwicz. Ta figa daje bardzo wiele do myślenia.

Łechcińska (która weszła przed chwilą). Ha, ha, ha!

Kotwicz (n. s.) A ta tu co robi?

Łechcińska. Pan hrabia! ha, ha, ha! nie w kniei, tylko na leśniczówce... a to ładnie, słowo daję... zamiast strzelać sarny w lesie, to się tu kręci koło sarny na dwóch nóżkach.

Kotwicz. Co kręci, kręci... nie wiedzieć co!

Łechcińska. Jakto, nie widziałam na własne oczy? Zaraz wszystkim opowiem... komu to tu świat durzyć, jak matkę kocham!... okropność!

Kotwicz. Ale daję słowo honoru.

Łechcińska. A! więc hrabia komu innemu robił interesa... to już prędzej ujdzie... (n. s.) no, jestem w domu.

Kotwicz (chodząc, kwaśno). Teraz mnie faktorem robią.

Łechcińska. Tego nie powiedziałam... (do chłopca, który wnosi dwa spore koszyki, i nie wie co z niemi robić). No, czegóż tu stoisz, zanieś do izby... (do Kotwicza) śniadanie dla myśliwych... (poufnie) ale to tylko dyplomacja, bo inaczej nie miałabym z czem się zamówić.

Kotwicz. Po co?

Łechcińska. Po co?... niktby nie zgadł.. oto poprostu po to, żeby pilnować hrabiego.

Kotwicz. Mnie?

Łechcińska. Nie inaczej, jak matkę kocham... bo hrabia taki ciężki do wszystkiego, że niech Bóg broni... może już i zapomniał, że pani sobie życzyła, aby po polowaniu przyjechali wszyscy do pałacu na obiad.

Kotwicz. No tak, wspominała mi kuzynka, więc cóż?

Łechcińska. A Strasz jest?

Kotwicz. Jaka straż?

Łechcińska. O! już koncepta... Strasz, ten młody, co się to teraz sprowadził do Zagrajewic, bo to o niego przedewszystkiem chodzi.

Kotwicz. Ale fe! cóż to nowego się święci?

Łechcińska. Najprzód, czy jest? bo jeżeli go niemasz, to to wszystko niepotrzebne.

Kotwicz. Ale jest, jest, i to nawet mnie zdziwiło... zkąd się tu wziął nieproszony? nikt go nie zna.

Łechcińska (tajemniczo). Ale ba!... proszony.

Kotwicz. Przez kogo?

Łechcińska. Wystaw sobie hrabia, to cała historja.. pani, na bilecie wizytowym męża napisała parę słów ołówkiem, i postarałyśmy się, że mu zaniesiono dziś raniutko, nibyto z polowania.

Kotwicz. Ale fe!

Łechcińska. Jak matkę kocham! I jakże on wygląda? przyzwoicie?

Kotwicz. Fagas... za kamerdynerabym go nie przyjął.

Łechcińska. E, hrabiego to nie ma się co pytać, bo taki arystokrata, jak nie wiem co.

Kotwicz. Szewcem dzięki Bogu się nie urodziłem.

Łechcińska. Co tam, jaki jest taki jest, dosyć że ma pieniąchy.

Kotwicz. I grube, ani słowa! poprostu milioner.. (p. c. z goryczą). Dostało się w ładne ręce... mój Boże! Zagrajewice, taka pańska rezydencja... gniazdo Zagrajewskich... to był dom jakich dziś już nie ma.. jakeśmy się tam bawili!... goście prawie nie wyjeżdżali... szampan lał się strumieniami...

Łechcińska. (z admiracją), Jak matkę kocham, to były czasy!

Kotwicz. Zwykle po takich bachandryach zjeżdżano do mnie na barszczyk, z którego słynął mój kucharz... prawda, że te barszczyki kosztowały mnie tyle, że łajdak Wucherstein zlicytował mi Bębnówkę i zabrał jak swoją.

Łechcińska. A! to tak? ale hrabia miał jeszcze i drugą jakąś wioskę.

Kotwicz. Lipowiec? mam tu po nim pamiątkę... (otwiera cienki pugilares, do którego Łechcińska ciekawie zagląda) przegrałem go na tę samą dwójkę pikową.

Łechcińska. Jezus!... no i cóż?

Kotwicz. Ano nic... oddałem w dwadzieścia cztery godzin... dług honorowy!... trudno!.. (po chw.) no, ale się przynajmniej żyło i użyło po pańsku... a teraz!... pierwszy lepszy cham, prosty wyrobnik jakiś z pod płotu... chodzi zasmolony, przy fartuchu... będzie kamienie tłukł przy drodze... później... jest! wypływa na wierzch... Krezus!... i niechże taki potrafi dom prowadzić!

Łechcińska. Chyba, że go panowie nauczą, bo to tak wszystko idzie w kółko... o!... (pokazuje palcem), taki tam jakiś skoro się dochrapie grosza, to nie ma spokoju, póki się nie wprosi do koligacji z jakim prawdziwie pańskim domem i te miliony znowu wracają tam, zkąd je wyciśnięto.

Kotwicz. Żeby to!

Łechcińska. Niech mówią co chcą, pan panem zawsze będzie... Naprzykład hrabia stracił taki majątek, ale jak był tak jest hrabią, a to jest kapitał i jaki! niejedna majętna osoba na wydaniu, chętnieby by oddała wszystko, żeby być hrabiną. Ja sama powiadam, że gdybym tak wygrała wielki los na loterji, albo gdyby mi dopisały jedne duże pieniądze (co jeszcze sekret) toby się hrabia musiał zaraz żenić ze mną jak matkę kocham!

Kotwicz. Ale fe! tak zaraz? na poczekaniu?

Łechcińska. Byłabym hrabiną... (chodząc, do siebie) Jezus! dopierobym nos zadzierała! Ciekawa rzecz jaką minę zrobiłaby na to stara szambelanowa. (do Kotwicza z przymileniem) Ożeniłby się hrabia ze mną, gdybym miała pieniądze? co?

Kotwicz (przyjrzawszy się jej, pół żartem). Chyba bardzo grube.

Łechcińska. A co jeszczeby grymasił, jak matkę kocham... nie powiedziałam? zaraz chce się krociów... dobre i coś... zawsze byłby swój kąt... a coby przyszło robić, gdyby zabrakło cudzych? przecie hrabiemu nie wypada się zaprzęgać do podłej pracy, jak jakiemu pierwszemu lepszemu. To tak jak gdyby np. naszemu państwu kazać być czem. Jezus! taka wielka familja, od książąt, hrabiów nawet królów po-

dobno... Czy to prawda, że Czarnoskalscy pochodzą od królów?

Kotwicz (z niechcenia). Właśnie to tylko ta linia do której ja się liczę, hrabiowska Dhalbergów, jest skuzynowaną przez Stuartów z większą częścią domów panujących.. a młodsza, z której pochodzi szambelanic.. ph!... niby przez Poniatowskich.. ale... w każdym razie, to już tylko... dobra szlachta... więcej nic.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z placu Wystawy Paryzkiej.

Paryż 28. lipca 1881 r.

Gdybyśmy się mogli cofnąć wstecz nie więcej jak o lat dwadzieścia i wziąwszy za rękę człowieka wykształconego z owych czasów, wprowadzili go dzisiaj wieczorem do wielkiej nawy pałacu wystawy elektryczności, to zdawałoby mu się, że został z ziemi przeniesiony w jakieś bajeczne krainy cudów.

Zdawałoby mu się, że zobaczył niemal wszystkie czary wschodnich powieści i lampę Aladyna, i duchy mówiące i mnóstwo innych tworów rozbujałej fantazji.

Nawet my, ludzie bieżącej chwili, przywykli do rzeczy najdziwaczniejszych i najmniej prawdopodobnych, nie możemy się powstrzymać od wrażenia, jakobyśmy weszli do świata innego, gdzie inne świecą słońca, gdzie w nocy jest jak w dzień jasno, gdzie bezduszne metale zmusza się do przemawiania ludzką mową, gdzie śpiew i słowa, ze wszystkiemi ich odcieniami przenosić można przez góry i lasy, po drucie, na olbrzymie odległości.

Obecną wystawę międzynarodową elektryczności, możnaby słusznie nazwać wystawą niespodzianek i nieprawdopodobieństw.

Zebrano na niej wszystko prawie, co zrobiono dotychczas w dziedzinie nauk elektrycznych. Spotykamy tam historyczne przyrządy, które służyły do robienia pierwszych odkryć obok najnowszych zastosowań prądów, do przedmiotów życia powszedniego. Nigdy jeszcze nie było specjalnej wystawy tak kompletnej i tak całość przedmiotu ogarniającej.

Niejednokrotnie, mówiąc o elektryczności, nazywamy ją siłą tajemniczą. Przymiotnik ten, najsłuszniej zastosować można w tym wypadku; ze wszystkich bowiem sił przyrody, elektryczność najmniej dotąd poznaną została. Pomimo że najdzielniejsze umysły wieku przykładały swoją pracę, do postawienia zadawalającej teorji elektryczności, pomimo to, teorja ta dotychczas jeszcze jest chwiejną, szwankującą na wielu punktach, a nieraz zupełne niedostateczną. Podczas, gdy ciepło, światło zbadane zostały tak dalece, że nauka o nich, stanowi najpiękniejszy pomnik nauk ścisłych naszego wieku, elektryczność pozostaje ciągle jeszcze tajemniczą. Dotąd jeszcze panuje powszechnie w podręcznikach pojęcie o dwóch płynach elektrycznych, dodatnim i ujemnym, zupełnie niezgodne z nowszą filozofią fizyki.

Stało się tak dziwnie, że w epoce niezwykłego rozwoju teoryj naukowych, kiedy odkrycia robią się przeważnie na drodze teoretycznej, w dziedzinie elektryczności praktyka o wiele wyprzedziła teorję.

Posiadamy obecnie wiele bardzo przyrządów pożytecznych i doskonale funkcjonujących, lecz których z całą naukową ścisłością wytłomaczyć sobie nie możemy. Są one przeważnie wynikami trafu, albo też szczególnej intuicji wynalazców, których umysł ciągle w jednym pracował kierunku.

Rzecz jeszcze dziwniejsza, że większość znakomitych wynalazców z lat ostatnich, wyszła z szeregu praktyków, nieposiadających żadnego wyższego teoretycznego przygotowania.

I tak, Gramme, wynalazca najznakomitszej dotychczas machiny dynamo elektrycznej, dostarczającej najtaniej najpożyteczniejszych prądów, wyszedł z koła robotników.

Bell, wynalazca telefonu i fotofonu, był zwykłym nauczycielem głuchoniemych i co posiada wiadomości fizycznych, to całkowicie sam sobie zawdzięcza Niezmiernie zajmującym jest urywek z jego autobiografji, w którym opisuje, na jak mozolnej drodze doszedł do odkrycia najgenialniejszego przyrządu elektrycznego z ostatnich czasów. A może też, ten brak wiadomości teoretycznych był mu właśnie pomocnym do zrobienia odkrycia? Któż bowiem odważyłby się pokusić o to, by mowę ludzką przesyłać z błyskawiczną szybkością po drucie?

Lecz ze wszystkich wynalazców najdziwniejszym przykładem jest Edison, którego nazwisko stało się obecnie na świecie tak popularnem, jak żadne inne z naukowych. Najprzód roznosiciel dzienników, potem redaktor brukowego pisemka, potem urzędnik telegraficzny, zajęty tylko pukaniem na manipulatorze aparatu telegraficznego Morse'a, stał się wreszcie Edison jednym z najpłodniejszych wynalazców, jakich kiedykolwiek ziemia posiadała. Dotychczas ma już przeszło dwieście patentów. Naturalnie, że między niemi jest wiele rzeczy żadnej prawie wartości nieposiadających, lecz i wiele takich, które nazwisko jego zapiszą w historji nauki.

Wszyscy ci wynalazcy dochodzili do rezultatów omackiem, drogą prób nieustannych i żelazną wytrwałością

Istnieje więc ciągle jeszcze między teorją a praktyką elektryczności wielki rozdział, który niezbędnie musi być usuniętym. Jestto wielkie zadanie chwili obecnej. Do jego rozwiązania rzucili się uczeni ze wszystkich zakątków świata i atakują ze wszech stron tajemnicze ciemności, pokrywające dotychczas elektryczność. Sądzimy, że na rezultaty nie długo czekać trzeba będzie. Obecna wystawa razem z kongresem naukowym przyczyni się niepomiernie do posunięcia tej sprawy o wiele naprzód.

Można powiedzieć bez wahania, że obecnie żadna z nauk nie obiecuje tak szybkich i wielkich postępów, jak nauka o elektryczności. Właściwie mówiąc, dopiero teraz wzięto się na serjo do jej badania, do wyszukiwania praktycznych zastosowań i spodziewać się należy, że rozwiązane zostaną nareszcie ważne problemata, obchodzące życie ekonomiczne i znacznie ulepszone zostaną stosunki komunikacyjne.

Już obecnie nie wiedzielibyśmy w jaki sposób możnaby było elektryczność usunąć z życia codziennego. Jakież olbrzymie usługi oddały nam telegrafy, jak stały się nieodzowną pomocą w stosunkach międzynarodowych i jak wielkie w ogóle ludzkości świadczą dobrodziejstwa! Coby się stało bez pomocy elektryczności z bezpieczeństwem podróżowania po kolejach żelaznych? Jaki zastój musiałby panować w handlu? Jaką drogą przesyłanoby ostrzeżenia meteorologiczne z najodleglejszych krańców świata przez lądy i oceany?

Przez tak krótki czas zastosowań elektrycznych tyle już zrobiono, nic więc dziwnego, że tak wielkie pokładają obecnie nadzieje w znakomite postępy, które mają być urzeczywistnione jeszcze za naszych czasów. Od pewnego czasu elektrycznością wszyscy się interesują, bo ciągle spotykają się z nadzwyczajnemi i niespodziewanemi odkryciami. Myśl więc urządzenia wystawy, zgromadzającej wszystko co w dziedzinie elektryczności zrobiono, była w całem znaczeniu tego słowa znakomitą, czego najoczywistszym dowodem, że na odezwę komitetu wystawy, zgłosiła się tak olbrzymia ilość pracowników, ze wszystkich stron świata. Specjalnej wystawy, takich rozmiarów, i tak interesującej, tak zupełnej, nie było dotąd jeszcze nigdy i Paryż może się szczycić, że znowu dał inicjatywę w wielkiem dziele.

Zanim przejdziemy do szczegółowego opisu wystawy, na jedną rzecz musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę. Wystawa jest specjalną, więc, ztąd obawa wielu osób, nie zajmujących się naukami ścisłemi, że będzie ona zajmującą tylko dla specjalistów. Możemy zapewnić, że obawa ta jest całkiem płonną, gdyż dość jest raz przejść pośpiesznie przez wszystkie sale, aby się przekonać, ile tam rzeczy obchodzących każdego człowieka; ile niespodzianek dziwnych a uderzających.

Najprzód więc dojeżdża się do gmachu wystawy koleją elektryczną wiodącą od placu Zgody. W chwili, gdy piszemy te słowa, kolej ta nie jest jeszcze zbudowaną, jakkolwiek stanie na pewno do 1-go sierpnia. Znamy ją jednak z Niemiec, gdzie po raz pierwszy była zastosowaną przez Siemens'a. Rzecz to wielce interesująca, ale w stanie obecnym niezbyt pożyteczna. Daleko praktyczniej jeździć tramwajami. Sam wynalazca określił ją słusznie jako zabawkę naukową.

W samym gmachu niespodzianek bez liku, w każdym prawie jego zakątku. Najkorzystniejszem i najbardziej zajmującem jest zwiedzanie wieczorne, kiedy potężne ogniska elektryczne oświetlają główną nawę, a sale górne oświetlane są każda na swój sposòb. Jestto konkurs wynalazców z całego świata dobijających się o sławę i o pieniądze. Te właśnie widoki materjalnych, olbrzymich zysków, skłoniły tak wielką, przeważną prawie ilość wynalazców do pracowania na polu oświetlenia elektrycznego.

Telefony, od tak niedawna istniejące, doszły w lat kilka do nadzwyczajnego udoskonalenia. Znajdujemy na wystawie najróżnorodniejsze ich zastosowania. Między innemi obiecują w prędkim czasie urządzić próby połączenia gmachu wystawy, z salą opery, aby z tej odległości módz się przysłuchiwać śpiewom i orkiestrze. Byliśmy obecnymi przy jednej z prób podobnych, (pomówimy później o tem obszerniej), na której mowę ludzką było słychać tak donośnie, że licznie zgromadzone audytorjum mogło słyszeć dokładnie wszystko, co elektryczność przynosiła po drucie z odległości kilkunastu kilometrów. Dziwne to robi wrażenie, jak mała blaszka metalowa z taką siłą i z tak dokładnem oddaniem odcieni, naśladuje mowę człowieka.

Dotąd jeszcze bardzo mało drobnych elektrycznych przyrządów weszło do użytku domowego. Znane są tylko powszechnie dzwonki

elektryczne i małe aparaciki (allumoirs), służące do zapalania lampki benzynowej. Na wystawie spotykamy cały szereg innych zastosowań nadzwyczaj dowcipnych i wybornie pomyślanych, które, spodziewać się należy, staną się po wystawie popularnemi. Znajdujemy tu całe urządzenie domowe, w najdrobniejszych jego szczegółach, a w którem elektryczność odgrywa przeważnie rolę. Poczynając od kuchni przygotowującej drogą elektryczną potrawy, a kończąc na fortepianie elektrycznym i lampkach nocnych wydających światło za pociśnięciem guzika.

W jednej z sal górnych urządzano scenę teatralną, z dekoracjami odpowiednio malowanemi, która wykazać ma, o ile da się światło elektryczne zastosować do praktycznego oświetlenia teatrów i tym sposobem usunąć niebezpieczeństwo pożarów, które w ostatnich miesiącach tyle klęsk sprowadziły.

Znajdujemy także wiele rodzajów przyrządów ostrzegających drogą elektryczną przed wybuchającemi pożarami.

Na basenie mają się odbywać próby z łódką pomysłu p. Trouvé, której śruba jest poruszaną zapomocą prądu elektrycznego, dostarczanego przez stos wtórorzędny pana Plonté.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

W ubiegłym tygodniu żadna nowa sztuka nie ujrzała światła kinkietów letniego teatru, wznowiono jedynie wyborną farsę francuską pod nowym tytułem „Wieśniacy w Paryżu“, znaną u nas jako „Skarbonka“. Przedstawienie wypadło bardzo licho, grano bez humoru i bez bliższego zaznajomienia się z rolami.

Interesującym był występ pny, Ruszkowskiej w „Poczwarce“, dramacie ludowym Birch-Pfeiferowej, w roli tytułowej. Postać bohaterki tej sztuki była i będzie zawsze przedmiotem pragnień młodych artystek, dążących do szerszego popisu, swą bowiem ekscentrycznością i silną charakterystyką nadaje się ta rola istotnie ku temu, że przy nie wielkiej rutynie scenicznej, artystka może osiągnąć piękny sukces, jeżeli tylko posiada talent rzeczywisty. *Poczwarce* też niejedna artystka zawdzięcza swe pierwsze powodzenie i wydobycie z ukrycia, że tylko wspomnę o naszej p. Nowakowskiej, która rolą tą od razu stanęła w rzędzie pierwszorzędnych artystek lwowskich. — Powodzenie jednak i uznanie rzetelne u publiczności i krytyki nie polegało jedynie na dobrem odegraniu sympatycznej i efektownej roli *Fanchon*, ale na tem, że artystka porywała widza szczerym zapałem i prawdziwem uczuciem, a artystyczną intuicją pokrywała niedostatek sztuki dramatycznej. Sądząc z kilku poprzednich występów p. Ruszkowskiej, można było oczekiwać, że z roli Fanchon wywiąże się młoda aktorka jeżeli nie zupełnie zadawalniająco, to przynajmniej o tyle szczęśliwie, iż udowdni że i tego rodzaju role są już dla niej przystępnemi. Niestety, pna Ruszkowska wszelkie oczekiwania zawiodła, a co gorsza, nie widać nawet było należytej staranności w wypracowaniu roli. Niezawodnie, że *Poczwarka* zbyt wiele jeszcze trudności młodej aktorce nasuwała, ale przy należytem wystudjowaniu roli, w każdym razie przy zasobie talentu, jaki posiada, mogła przynajmniej temu zadość uczynić, co nie wymaga głębszego wnikania przy odtwarzaniu kreacji, a na co wystarczy zapał młodego umysłu. Tymczasem gra pny Ruszkowskiej była chłodną od początku do końca, ani jednej szczerej nuty nie usłyszeliśmy, ani jedno słowo nie zadrżało prawdziwem uczuciem, ani jednej chwili szczęśliwej, któraby świadczyła, że artystka przejęła się rolą, że pracowała nad nią. Panna Ruszkowska zdobywszy sobie pierwszemi występami od razu pochlebną opinję, nie powinna była tak lekko narażać jej na szwank — a podobne występy jak w „Poczwarce,“ mogą łatwo zachwiać wiarę w jej ambicję artystyczną a wzbudzić podejrzenie, że chwilowem powodzeniem zadawalnia się. Wiara w prawdziwy talent tej artystki, dyktuje nam te cierpkie słowa, jakoteż obawa, aby pna Ruszkowska mimo swego talentu nie zeszła do rzędu tuzinkowych aktorek, co łatwo staćby się mogło, jeżeli uwierzy w oklaski nie wywołane grą dobrą, lub upajać się będzie wonią niezasłużonych bukietów, których kwiaty pochlebstwem są zatrute.

Hilary J.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** P. Antoni Rembieliński wydał ciekawy przyczynek do historji filozofji w Polsce p. t. „Salomon Majmon“.

*** Świeżo opuściły prasę wspomnienia z podróży do morza północnego, skreślone przez p. Henryka Müldnera p. t. „Z nad brzegów morza północnego.“

Autor opisuje głównie Hamburg i kąpiele morskie w wiosce Westerland na wyspie Sylt, tej najbardziej wysuniętej na północ czatowni Niemiec.

Wspomnienia drukowane były poprzednio w „Wędrowcu“ i są ozdobione ośmioma skromnemi drzeworytami.

Rzecz zajmująca i czyta się przyjemnie.

P. Müldner nie po raz pierwszy już występuje na tem polu; prace swe drukował on przeważnie w „Wędrowcu.“

*** Nakładem „Wieczorów rodzinnych“ wychodzić poczęła „Historja powszechna dla młodego wieku“, opowiadziana według najnowszych źródeł przez Zarembę.

Ukazał się już tom pierwszy tego wydawnictwa, zawierający „Egipt i państwo assyryjsko-babilońskie.“

*** Świeżo ukazał się w handlu księgarskim „Katechizm rzymsko-katolicki“, ułożony przez ks. Piotra Stojakowskiego, nauczyciela przy szkole realnej w Warszawie.

Jestto już drugie wydanie tej książki.

*** Wyszła z druku rzecz p. t. „Owoce i wytwarzanie odmian owocowych“ (z tablicą litografowaną), przez Edmunda Jankowskiego.

Do wielkiego zbioru prac o owocach postanowił autor, jak się sam wyraża w przedmiocie, „dorzucić jeszcze jedną drobnostkę“...

Rzeczywiście jest to drobnostka, ale wyszła z pod pióra takiego specjalisty, jakim jest p. Jankowski, nie potrzeba więc wiele dodawać: nazwisko autora mówi za siebie.

Niewątpliwie „Owoce“ znajdą się u każdego właściciela ogrodu i miłośnika sadownictwa.

*** „Gazeta sądowa warszawska“ w ostatnich kilku numerach drukuje szereg artykułów Aleksandra Kraushara „o własności literackiej i artystycznej.“

Praca to podjęta na szerszą skalę.

*** W Paryżu nakładem Marpona wyszła książka p. t. „Poètes illustres de la Pologne au XIX siècle, dernière série.“

*** W Berlinie u Juliusza Lipperta ukazała się nowa książka p. t. »*Die Religionen der europeischen Culturvölker in ihren geschichtlichen Ursprung*«, w której znajduje się mnóstwo materjałów do mitologji litewskiej.

*** Karol Mecherzyński, wysłużony prof. Uniw. Jagiell., zmarł d. 9. bm. na Podgórzu, gdzie od lat kilku przemieszkiwał.

Urodzony w Krakowie r. 1800, w temże mieście pobierał nauki. W roku 1825 otrzymał stopień dra filozofji, będąc niebawem powołany na profesora języków polskiego i łacińskiego najpierw w liceum św. Barbary, a następnie w gimnazjum św. Anny. Od r. 1849 wykładał historję literatury polskiej w uniw. Jagiell. Do zasług w zawodzie nauczycielskim i cnót obywatelskich, liczne jeszcze rozprawy i dzieła naukowe dodane przedstawiają żywot pełen pracy i użytku publicznego. Pomijając mnóstwo rozpraw napisanych przez ś. p. Karola Mecherzyńskiego, wymienimy tylko: „Historję języka łacińskiego w Polsce“ 1833, „Dzieje języka niemieckiego u nas“ 1846 „O magistratach miast polskich“ 1845, „Historję wymowy w Polsce“ 3 tomy 1856—1860, Historję literatury polskiej“ i „Wypisy dla szkół“, wreszcie pomnik pracy mozolnej, przekład „Dziejów Długosza“ tomów 5. Roczniki Towarzystwa naukowego krakowskiego, a następnie wydawnictwa Akademii Umiejętności, której zmarły był czynnym członkiem i dyrektorem wydziału filologicznego, pełne są prac jego świadczących, że w długiem życiu nie miał chwil odpoczynku poświęciwszy je całe nauce. Uznanie powszechne nie da zapomnieć o imieniu jego, gdyż dawno już policzyło je do grona dobrze zasłużonych krajowi.

*** Od pani Modrzejewskiej otrzymał „Czas“ list, donoszący mu, iż artystka bawi obecnie w St. Lunaire w Bretanii, odpoczywając po trudach sezonu londyńskiego. W jesieni wybiera się pani Modrzejewska w podróż artystyczną po Anglji, Szkocji i Irlandji, gdzie zamierza występować w większych miastach prowincjonalnych. Z końcem grudnia, „stęskniona za krajem“, powraca do Krakowa i zamyśla przez pół roku tamże zabawić. W sierpniu roku 1882, zamierza znakomita artystka puścić się znowu za ocean do Ameryki i Australji.

*** Słyszeliśmy, iż w jesieni wystawioną być ma na scenie warszawskiej opera nieznanego nam dotąd kompozytora Catalaniego.

*** Czasopismo „Deutsche Rundschau“ podaje wyczerpujące sprawozdanie z dzieła p. Lisickiego p. t. „Margrabia Wielopolski.“

Po niemiecku wychodzi obecnie powieść Kraszewskiego: „Z pamiętników starego dziada“.

Tłumacz dał jej tytuł „Glück im Unglick“.

*** Dzieło sceniczne Sienkiewicza p. t. „Na jedną kartę“, przełożone przez Fritscha na czeski, wystawionem będzie niezadługo w Pradze.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.